

AW II 12218/P

PRAWDĘ TRZEBA PRZEKAZYWAĆ
DOPUKI JESTEŚMY ŻYWI

"Potemnym, aby nigdy nie zapomnieli
cierpień swych najbliższych"

Człowiek, człowiekowi zgotował ból i cierpienie, głód i upokorzenie, niewolę, którą przeszli wcześniej nasi przodkowie, dziadkowie, ojcowie, poświęcając za Ojczyznę życie na mroźnych przestrzeniach Sybiru.

Myśmy przechodzili mękę później.

Dziś jesteśmy wolni i o tym powinniśmy pamiętać.

Żyjemy w wolnej Polsce.

Za żadne skarby nie wolno dopuścić do zniewolenia narodu. Pozbycia własnej tożsamości, kultury, historii. Naród bez tych przymiotów ginie w niepamięć, rozpada się, idzie w ciężką niewolę.

Musimy dbać o to, aby kraj nasz ze swym narodem przetrwał wieki, był silny i szanowany w świecie.

Przez wieki zawierzamy się Pani naszej, która czuwa nad Polską, daje siłę i moc narodowi polskiemu do wiecznego przetrwania.

WYSIEDLENIE I WYWOZKA

Łomot do drzwi i okien wystraszył wszystkich. Krzyk zbirów "aufmachen" przewyższał łomotanie. Dorosli domownicy na równe nogi wyskoczyli z łóżek, dzieci zaczęły płakać. Tak, to już koniec naszej egzystencji w rodzinnym mieście pomyślał ojciec, prosząc matkę by uspokoiła i zaczęła ubierać małe dzieci.

Już, już, idę otwierać, odezwał się ojciec drżącym głosem.

Zgrzyt klucze w drzwiach oznajmiał nowy okres podwójnego niewolnictwa. Grupa esesmanów, żandarmów, volksdojci wpada do mieszkania.

Z listy wyczytują kolejno nasze osoby. Wydają decyzje. Pół godziny na ubranie i wyjście z mieszkania bez żadnych paczek.

Na dworze noc styczniowa 1944 r., mroźna i śnieżna. Obok domu stoją podwozy - sanie konne na które ładują wysiedlone osoby.

Dowiedziawszy się o wysiedleniu nas, cała nasza rodzina: Nalichowski, Zawadzki, Krzemiński, Żłobiński, Nyklasiński, Tylski, przybyli w ukryciu, by pożegnać się z nami. Każdy z nich przyniósł nam bochenek chleba. Chleba ubierało się sporo, cały worek. Ojciec w ukryciu umieścił worek z chlebem na saniach mojego wuja Zawadzkiego Antoniego. Wuj uprosił Niemców, aby saniami dwukonnymi mogli nas odwieźć do Wielunia. Jedziemy w kierunku Kowali. W Kowalach oczekują sanie konne załadowane ludźmi. Przyłączają do naszego transportu. Podobnie to czynią w Wierzbju. Razem jedziemy w kierunku Wielunia. W Wieluniu na rampie kolei oczekują nas zbiry hitlerowskie w czarnych i brązowych mundurach. Ponownie wyczytują i umieszczają w wagonach towarowych, które po zapełnieniu zamykają na kłódki. Pilnują nas esesmani z karabinami. W wagonach jest bardzo tłoczno, ludzie przerażeni i wystraszeni. Wspólnie odmawiamy pacierz i różaniec. Widać strach, niemość. Jesteśmy gładni. Brak ubikacji powoduje zamieszanie. W wagonach trzymano nas od rana do nocy.

Wuj mój Stanisław Kruś był kolejarzem prze 1939 r. Miał kolegów kolejerzy. Pomogli mu odszukać naszą rodzinę. Przez szparę w okienku wagonu porozumiał się z ojcem. Ojciec prosił, aby w Praszce odkopał

beczkę z mięsem i słoniną. według prośby słoninę przywiózł nam do Wielunia. Wyczyn ten był ryzykiem ocierającym się o karę śmierci. Pod osłoną ciemności, przebrany za smarowniczego wagonów dostarczył nam upragnioną słoninę. Po jednym kawale odbierał ojciec słoninę do wagonu. Jak się okazało, słoninę było podstawą do przetrwania trudnych tygodni pobytu w obozach razem z bochenkami chleba. Z ostatnim bochenkiem chleba rozstaliśmy się w pracy na roli we dworze Gut Ilberg w Milhausen. Chleb był czerstwy, pokryty pleśnią zieloną. Ostatni bochenek chleba ojciec dał do posiłku zwierzętom we dworze.

Nocą przyłączone lokomotywę. Pociąg ruszył w kierunku Kępna. Nad ranem transport dojechał do Poznania. Na bocznicę kolejowej zostaliśmy wyprowadzeni z wagonów pod eskortą esesmanów, którzy byli z bronią i z psami. Uformowali ósemki i w szyku prowadzą nas w nieznanym kierunku. Szliśmy dość długo, nie wiedząc gdzie. Ojciec mój niósł w worku chleb i słoninę. Obok ulicą szła starsza pani zamieszkująca w tej dzielnicy. Ona w skrytości poinformowała nas, że prowadzą wszystkich do obozu przejściowego. Po pewnym czasie dotarliśmy do obozu ogrodzonego drutem kolczastym wysokim na dwa metry. Przechodziliśmy przez trzy bramy wejściowe. Bramy te były strzeżone przez ludzi w czarnych mundurach. Nie było możliwości ucieczki. W okolicy obozu były wybudowane wieże strażnicze.

- OBOZ W POZNANIU I W NIEMCZECH

Jakże inny świat przedstawiał obóz zbudowany dla Polaków. Świat z którego nie wolno było wyjść. Trzeba było pogodzić się z rygiem tam panującym. Miejsce zniewolenia nas, nie patrząc na wiek, pochodzenie, wykształcenie. Wyzucie z człowieczeństwa tylko dlatego, że jesteśmy Polakami. To my, Polacy zniewoleni przez wyższą rasę ludzi w tym momencie zostaliśmy zmuszeni do poddaństwa. Wtedy zrozumielśmy niebezpieczeństwo. Poczuliśmy się zagrożeni.

Obóz był duży. Zajmował bardzo dużą przestrzeń. Baraki wybudowane z drzewa szeregowo. Pomiędzy barakami wytyczone były drogi. Wszystkie baraki ponumerowane. Nas umieszczono w baraku nr 21. Na terenie obozu istniał budynek biurowy, kuchnia oraz łaźnia do perowania rzeczy, dzieci i ludzi. Do ogromnych sal wprowadzone ludzi nago. Oddzielone matki z córkami i chłopców z ojcami bez względu na wiek. Psełdo lekarz- esesman dokonywał selekcji osób. Zdrowi stali w jednym szeregu, chorzy w drugim. Nie wiem, co stało się z chorymi, ponieważ odizolowane zdrowych od chorych.

W obozie rygiem panował duży. Nikt nie odważył się przekroczyć przepisów o których informowały cały dzień głośniki umieszczone na słupach. Między innymi informowały o możliwości otrzymania jedzenia z kuchni. Jedzenie gotowane w wielkich kotłach na cały dzień. To samo jedzenie dawano rano, w południe i wieczorem. Składało się z zupy ugotowanej na ziemniakach, zgnieconych w skórkach, słabo oczyszczonych. Wywar do zupy przyrządzano z końskich łbów i odpadów zgniłej włośzczyzny. Idąc obok kuchni smród zalaatywał taki, że nie można było przejść bez wykręcania głowy. Z konieczności korzystaliśmy z jedzenia ale w ograniczonej ilości. Brak było naczyń. Różnie to bywało. Jedni nosili jedzenie w starym garnku, inni w puszkach, jeszcze inni w garczkach, pożyczając sobie na wzajem naczynia.

Wewnątrz baraku stały prycze jedno i dwupiętrowe bez żadnych sieni-
ników, koców. Wokół sali były ławy. Na środku sali stał piec żelazny
okrągły. Nie palono w nim bo brak było węgla. Kto chciał mógł poło-
żyć się do spania na gołych deskach. Do spania nie rozbieraliśmy się.
Jedynie buty zdejmowaliśmy, kuląc się z zimna. W takiej pozycji i na
takim łożu spać się nie dało. Wstawaliśmy w nocy i goniliśmy się
po baraku, aby rozprostować kości i wprowadzić w ruch zmarznięte
ciało. Dla zachowania higieny, ojciec kazał obciąć nam włosy bardzo
krótko. Wyglądaliśmy jak prawdziwe dzieci obozu.

W każdym baraku była prowizoryczna kuchnia na której matki dla
niemowląt mogły ugotować mleko odciagane swym pocięchem. W taki
sposób korzystając z miejsca wolnego na piecu, matka moja w puszcze
zamienionej na garnek gotowała rosół ze słoniny bez żadnych dodatków
za wyjątkiem soli. Do rosółu ojciec łamał i dawał każdemu kawałek
chleba / nie miał noża/. Sól matka otrzymywała wzamian za chleb
i słoninę. Z posiłkiem każdorazowo dzieliliśmy się ze współlokatorami.
Byliśmy szczęśliwi, że mieliśmy chleb i słoninę. Te dwa produkty
pomogły przeżyć nam i współwięźniom z baraku, okres kilku tygodni
pobytu w obozie w Poznaniu i Niemczech.

Przyszedł dzień wyjazdu z obozu Poznań. Zarządzone przewie-
zienie do obozu przesiedleńczego w Niemczech. Niestety nikt z re-
dzeństwa nie pamięta nazwy miejscowości /rodzice nie żyją/.
W nowym obozie podobne warunki jak w Poznaniu. Selekcja osób,
odkarzanie odzieży i osób. Jedzenie podobne. Jedynie obsługa zmie-
niona z niemieckiej na ukraińską /Własowcy/.
Pobyt w obozie kilka tygodni.

TARG O PRACOWNIKÓW

Nadszedł wyjazd w nieznaną. Załadowano nas tym razem w wagony
osobowe. Pod nadzorem esesmanów jedziemy w kierunku zachodnim. Im
dłużej jedziemy, tym cieplej. Promienie słońca coraz mocniej grzeją.
Widać, że zbliżamy się do terenów do których wcześniej przychodzi
wiosna. Co większa stacja, to ubywa pasażerów. My jedziemy dalej.
Dojeżdżamy do Milhausen /Alzacja/. Rozkaz wysiadki. Pod murem budynku
stacji przygotowany fotograf robi zdjęcia z numerem na piersi
wszystkim dorosłym, a nie tylko. W naszym przypadku zrobiono zdjęcia
rodzicom i siostrze Hani i Gabrysi. Mnie oraz młodszej siostrze
Alicji nie zrobiono. Po tej czynności dopuszczono właścicieli majątko-
wych z okolicy Milhausen, którzy jak na targu wybierali mężczyzn
i kobiety, młode, silne, zdolnych do pracy. Nas nikt nie chciał zabrać.
Pod koniec targu wyboru już nie było, zostaliśmy sami i pani
Krzemińska Marianne i syn jej Kazimierz. Rodzina Łuckich i Żrobin-
skich pojechały dalej o jedną stacją.

PRACA NIEWOLNICZA

Jak się okazało z litości zabrał nas pan Portman dzierżawca dworu z przedmieścia Milhausen. Dwór nazywał się Gut Ilberg. Razem z nami do majątku dostała się pani Krzemińska Marianna i syn jej Kazimierz.

Podstawiono bryczkę konną. Siedliśmy i i pojechali w kierunku dworu. Woźnicą bryczki był Polak, niewolnik wojenny, który dla zgrywy nastraszył nas o złych warunkach we dworze. Przyjeżdżając do dworu, pan Portman chciał zaobserwować nasze zachowanie przy stole /ponoć mieliśmy być Rosjanami przywiezionymi ze wschodu/. Ustawiono stół na tarasie domu i podano posiłek, który składał się między innymi: zupa sporządzona z gatunku strączkowatych /nazwy nie pamiętam/. Przy stole siedząc ojciec, matka, pani Krzemińska czy mieli w oczach. Podobnie my dzieci zaczęliśmy płakać. Nikt nie miał siły jeść. Jedynie napiliśmy się kawy z mlekiem. Z za fira obserwowano nas. Po jakimś czasie posłano kucharkę z zapytaniem, dlaczego nie jemy. Rodzice odpowiedzieli, że jesteśmy wyczerpani i nie potrafimy takiego jedzenia jeść. Ojciec poinformował także kucharkę Polkę, że jesteśmy Polakami, wysiedlonymi i wywiezionymi na przymusowe roboty. Skończyło się na tym, że w dniu tym nie jedliśmy nic, głodni położyliśmy się spać.

Dowiedziawszy się o tym, że jesteśmy Polakami, pan Portman stosunek miał przychylny dla nas. Często dyskutował z ojcem moim na różne tematy, nawet polityczne. Ojciec nie mówił płynnie po niemiecku, ale z panem Portmanem umiał się porozumieć.

Z uwagi na brak miejsca zakwaterowania mojej rodziny, właściciel dworu wynajął nam mieszkanie w pobliskiej wiosce Didenheim. Zamieszkałaliśmy w starym domu przy ul. Ilstrase 10. Zamieszkując w Didenheim przekonaliśmy się o dobroci i życzliwości sąsiadów. Pan Portman zaopatrzył nas w podstawowe umeblowanie mieszkań, garnki, talerze. Uzupełnienie wyposażenia mieszkań dokonali sąsiedzi bez wiedzy rodziców. Odwiedzając nas przynosili brakujące meble, garnki, nakrycia koce, a nawet święte obrazy, które sami powiesili na ścianach naszego mieszkania. W Didenheim zajmowaliśmy dwa pokoje z kuchnią.

Ojciec i matka oraz siostry Hania i Gabrysia rozpoczynają pracę. Z uwagi na to, że właściciel widział, że jesteśmy małe, prace wyszukiwał lżejsze. Dawał nam także od siebie codziennie 2 litry mleka pełnego oraz kolację, którą przynosiła do domu matka.

Praca we dworze rozpoczynała się o 6⁰⁰ rano i kończyła się o 18⁰⁰ wieczorem. Codziennie wstawaliśmy o godz. 5⁰⁰ rano by zdążyć do pracy na 6⁰⁰. Do dworu z wioski Didenheim było około 3 km, przechodząc przez las u podnóża góry, wzdłuż rzeki Il.

W niedzielę mieliśmy przerwę. Chodziliśmy na Msze Święte do kościoła w Didenheim w klompach /drewniakach całych z drzewa/. Wsuwało się nogę do drewniaka z chaptami, które uszyła matka. Przed kościołem rzędy stały klompów różno kolorowych, które zdejmowaliśmy, a do kościoła wchodziliśmy w chaptach. Nikomu nie zginęły nigdy drewniaki. Każdy poznał swoje. W wolny czas ojciec wykorzystywał do oprowadzania całej rodziny i zwiedzania okolic.

Wraz z rodzicami we dworze pracowali: Niemcy, Francuzi, Polacy, którzy wyjechali do pracy przed 1939 r., niewolnicy wojskowi polscy /skoszaroni we dworze, których pilnował żołnierz niemiecki w pracy i po pracy/, niewolnicy włoscy, którzy sprzeniewieżyli się Musoliniemu, niewolnicy rosyjscy. Te dwie grupy niewolników codziennie dowożono do pracy do dworu. Wieczorem zabierano ich do obozu. Włosi oraz Rosjanie bardzo pięknie śpiewali różne piosenki. Jeden z niewolników włoskich naszkicował portret siostrze Hani. Ma go do dziś na pamiątkę.

Ojciec zarabiał około 40 marek, matkę około 27 marek, siostry około 17 marek. Ja nie dostawałam nic.

Na początku naszego zameldowania w Didenheim zapisano nas do szkoły. Chodziłyśmy ze dwie tygodnie. Przyszło zarządzenie i wyrzucono nas z niej. Pamiętam jak rozpaczaliśmy z tego powodu. Mieliśmy dobrych sąsiadów w Didenheim państwo Brem, Bader i innych. Pomagaliśmy sobie nawzajem.

Mijały miesiące, a końca wojny nie było widać. Pracowaliśmy we dworze do ostatnich dni okupacji. Często bombardowano Milhausen, musieliśmy się kryć. Dzięki Bogu nikt przy bombardowaniu nie zginął. Pewnego razu w czasie bombardowania Milhausen, matka pana Portmana nie zdążyła skryć się do schronu. Ostatnie wybiegła z domu z małą walizką, kierując się do bunkra. W tym zaczęły lecieć bomby. Od wybuchu bomb i podmuchu, pani Portman na samym środku podwórza we dworze została rzucona na ziemię. Była nieprzytomna. Ojciec mój mieszał nawozy sztuczne w szopie /nigdy nie krył się mówiąc, że ktoś musi być na zewnątrz, może przeżyje i odszuka najbliższych. W grupie rodzinnej mogliśmy zginąć razem i nikt nie dowiedziałby się gdzie zgineliśmy/. Zauważywszy leżącą na ziemi, podbiegł by ją ratować. Ocucił panią Portman. Stwierdził, że nie jest ranna, wziął pod rękę razem z walizką, udając się w kierunku schronu. Trudną było doburzyć się do środka, Schron był solidnie wybudowany /wewnątrz góry na której rósł las/. W schronie siedzieli: cała rodzina państwa Portman oraz wszyscy pracownicy dworu. Panią Portman wraz z walizką przekazał synowi w schronie. Od tej chwili jeszcze większy szacunek miał u pana Portmana. W oczach właściciela był człowiekiem bardzo uczciwym i uczynnym. W walizce było całe bogactwo państwa Portman. Po wyzwoleniu proponowano nam pracę we dworze, względnie zatrudnienie w fabryce /chciał zatrudnić pracę wszystkim/. Nie skorzystaliśmy z oferty. Ciągnęło nas do Polski do pozostawionej rodziny.

PRZEŻYCIA WOJENNE

Nadszedł front w nasze strony. Front, który przesunął się i ponownie wrócili Niemcy. Myśmy przesiedzieli razem z mieszkańcami wioski dwa miesiące w bunkrach z pierwszej wojny światowej. Niemcy powracający na ten teren nie odnaleźli nas. Byłoby kruche z nami. Nadszedł dzień wyzwolenia. Dom nasz został zniszczony. Myśmy nie odnieśli ran, bo przebywaliśmy w piwnicy, a piwnice nie zostały naruszone. W tym czasie byłem u państwa Brem z ich synem Bernardem i jego kuzynem w domu. Rodziców Bernarda nie było. Z pierwszym grzmiącym armatnim zlecieliśmy do piwnicy /piwnice budowane na powierzchni ziemi, bo jest tam ciepło/. Położywszy się na węglu za kominem przeleżeliśmy ostatnią ofensywę wojski alianckich na Milhausen i Didenheim. Po ustaniu strzałów, razem z wojskami alianckimi biegaliśmy po wiosce i przesztowaliśmy Niemców, ukrytych w rowach strzeleckich i zabudowaniach. Wszystkich przesztowano, rozbrojono i całych odtransportowano do punktu zbarnego. Rodzice Bernarda bardzo dziękowali mi, że pomogłam przeżyć ich jedynemu synowi. Wyjeżdżając z Didenheim do obozu w Milhausen, matka Bernarda na pamiątkę dała mi złoty łańcuszek i krzyżyk. Nasze tereny wyzwalały wojska alianckie: francuskie, angielskie, amerykańskie. Teren Milhausen i okolic stanowił ostatnią zaporę Niemców /7 km do rzeki Ren/. Za rzeką Ren była III Rzesza Niemiecka.

Siostra moja Gabrysia pomogła w ujęciu szpiegów niemieckich, którzy siedzieli w lesie przez który przechodziliśmy do dworu. Szpiegzy wiele szkody zrobili po wkroczeniu wojsk alianckich na nasz teren. Między innymi wysadzili magazyn amunicji i paliwa w Didenheim. Za pomoc w wykryciu szpiegów, siostra otrzymała pochwałę od dowódcy oddziału partyzanckiego francuskiego.

OKRES POWOJENNY I POBYT W OBOZACH

Po wkroczeniu wojsk alianckich i zakończeniu wojny/koniec kwietnia 1945 r./, znów nas umieścili w obozach dla wywiezionych na przymusowe prace. Obozami dla nas we Francji były: Milhausen, Szum pod Paryżem i Szumerak na południu Francji w Górach Alpach. Pobyt w obozach ograniczał się do kilku miesięcy w każdym miejscu. W obozach przebywało każdorazowo kilkadziesiąt tysięcy osób. Do obozów deczerali wysłannicy z Polski Ludowej na czele z panem Jędrychowskim. Agitowali wszystkich Polaków w obozach. Obiecywali wolność, "złote góry". Twierdzili, że domy, całe zabudowanie "stoją otworem" dla rodaków. Kłamali. Żaden list z Polski nie dotarł do nas. Siostry oraz brat pisali, aby nie przyjeżdżać, "bo nie ma po co". Do obozów przyjeżdżali także przedstawiciele Rządu Londyńskiego na czele z panią Sikorską, wdową po premierze Sikorskim. Tłumaczyli, że nie ma po co jechać do Polski, bo Ojczyzna jest zniewolona przez Rosjan. Każdorazowo Międzynarodowy Czerwony Krzyż przywoził paczki, jedzenie i obdarowywał wszystkich, którzy byli w obozie. Pomagali wszystkim w wyjazdach do: Angli, Ameryki, Australii. Z uwagi na rozbitcie naszej rodziny /trzy siostry i brat/ pozostali w Polsce, ojciec zdecydował na powrót do miejsca urodzenia Praszki.

W październiku 1945 r. w obozie Szumerak, zorganizowano głodówkę z uwagi na bardzo złe warunki. Jedzenie było łyche. Ludzie głodowali. Organizując głodówkę spowodowali przyjazd władz administracyjnych Francji z Paryża. Po przedłożeniu żądań, ustalono, że w ciągu dwóch tygodni zostaniemy przewiezieni do Polski. Dotrzymano terminu. Nadszedł upragniony dzień. Podstawiono na bocznicę 90 wagonów towarowych. W każdym wagonie było około 100 osób. Do wagonów deczerpięno dwie lokomotywy. Podróż nasza do Polski przez: Niemcy, Austrię, Czechosłowację trwała dwa tygodnie noc i dzień z małymi przerwami. Opiekę nad nami otoczył Międzynarodowy Czerwony Krzyż, dostarczając suchy prowiant na drogę. Dowódcą pociągu był kapitan Polskiego Rządu w Londynie /nazwisko nie pamiętam/. Byli także: lekarz, położna i pielęgniarka. W każdym wagonie był przedstawiciel osób zakwaterowanych w wagonie. Jednym z nich był mój ojciec. W czasie długiej drogi z Francji do Polski wszyscy, jak jeden, od najstarszego do najmłodszego uczestnika transportu, śpiewaliśmy pieśni ułożone na obczyźnie.

O Panie, który jesteś w niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń
Wzłemy z cudzych stron do Ciebie
O Polski dach • Polską dłoń

Ref. O Boże skrusz ten miecz co siekł nasz kraj
Do wolnej Polski nam powrócić daj
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz kraj

O usłysz Panie skargi nasze
O usłysz nasz tułaczy śpiew
Z nad Wisły, Warty, Sany, Bugu
Męczeńska do Cię wola krew.

Polski Królów o to my Twe dzieci
Z ognisk wygnani swych w dal
Prosim za tymi, co we wrogiej sieci
Cierpią i znoszą smutek, żal

Ref. Wyproś im męstwo
Wyproś zmiłowanie
Płacz i ich smutek w radość zmień
Niech Syn Twój Jezu słyszy ich błaganie
By nam zawitał wolny dzień

Złącz tych wygnańców, którzy się tułają
Co za Ojczyznę idą w bój
Z tymi co w kraju dziś za nami płkają
Spraw by wolności nadszedł czas.

Gdy podasz nam rozkaz ruszymy do boju
By pomścić krew polską przelaną
Z Paryża przez Berlin pojedziem do kraju
Przywitac Ojczyznę kochaną

Zatrąbią trębacze, zagrają armaty
Wolności czas zbliża się szybko
Rozbijem fortece i te kasarmy
Rozpedniesz germańska kolebko

A orzeł nasz biały swobodny już będzie
Nad nami swe skrzydła rozstaczał
Z sztandarem na czele pójdziem w pierwszym rzędzie
Krwiożercy wróg będzie rozpatrzał

Za ży polskich dzieci
Za krzywdę im daną
Sędziami ci będą polacy
I wszystkie te sprawy tak będą badane
Nie ujdzie wam kara prusocy
Warszawo stolicco, tęskniczo dusz polskich
Do Ciebie prowadzą nas ślady
Z wesołym uśmiechem witamy Was wszystkich
Z tułaczki wracamy Polacy.

Był to pierwszy transport tułaczy z Francji, powracających z ~~Węgier~~
do Polski.

POWROT DO OJCZYZNY

Granicę Polski w Dziedzicach przekroczyliśmy około 20 listopada 1945 r. Zastaliśmy nowy świat, inny niż na zachodzie. Powrotu na peron na którym podstawione wagony francuskie nie było. Ojciec zrozumiał wtedy, że podjął decyzję złą. Zetrzymane nas w obozie wschodniej demokracji siłą, podobnie, jak poprzednicy wywieźli przymusowo do niewolniczej pracy. Żyliśmy w niej przez przeszło czterdzieści pięć lat. Na dojazd do miejsca stałego pobytu do Praszki, otrzymali rodzice bilet wolnego przejazdu, sto pięćdziesiąt złotych gotówki dla każdej osoby i potwierdzenie, że przekroczyliśmy granicę Polski, powracając z niewoli niemieckiej do Ojczyzny. Dojechaliśmy do Wielunia. W Wieluniu zawiadawcą kolei wąskotorowej był mój wuj Stanisław Krus. Dowiedziawszy się o naszym przyjeździe, wysłał specjalny pociąg kolei wąskotorowej na dużą stację. W wielkiej radości powróciliśmy do Praszki, a wraz z nami rodzina Krzemińskiej Marianny z synem Kazimierzem, Złobińska Marianna z córką Danutą i synem Wacławem urodzonym na obczyźnie, Łucki Stefan z matką Marianną i siostrą Antoniną.

NADZIEJA NA LEPSZE

Każdy z nas dorósł do wieku dorosłego. Większość z nas uzyskała wykształcenie średnie, a nawet wyższe. Rozpoczęliśmy pracę zawodową, polepszyły się warunki materialne naszej rodziny. Wszystkie wyszliśmy za mąż, brat się ożenił. Utrzymywaliśmy rodziców do śmierci. Wychowaliśmy dzieci, wykształcili. Cieszymy się z osiągniętych warunków oraz z wnucząt, którym przy okazji opowiadamy nasze przeżycia wojenne i powojenne.

Praszka, dnia 22 lipca 1993 r.

Zmarli :

Ojciec Nalichowski Józef 30 maja 1964 r. Praszka
Matka Nalichowska Władysława zd. Zawadzka 5 kwietnia 1980 r. Praszka
brat Dariusz Nalichowski 16 marca 1975 r. Praszka
siostrę Helena Nalichowska zam. Pyczyńska 9 grudnia 1977 r. Opole

Latuszek Bogumiła
Latuszek Bogumiła zd. Nalichowska

ul. H. Sienkiewicza Nr. 15

46-320 PRASZKA
woj. Częstochowa

tel. 102

LISTA osób wysiedlonych i wywiezionych
z Praszki w styczniu 1947 r do Milhausen
i okolic :

1. Nalichowski Józef ur. w 1888 r. - ojciec
2. Nalichowska Władysława ur. 1897 r. - matka
3. Nalichowska Hanna ur. 1929 r. - siostra
4. Nalichowska Gabriela ur. 1931 r. - siostra
5. Nalichowska Bogumiła ur. 1934 r. - autorka wspomnień
6. Nalichowska Alicja ur. 1939 r. - siostra

1. Krzemińska Marianna ur. - matka
2. Krzemiński Kazimierz ur. 1928 r. - syn

1. Łucka Marianna ur. - matka
2. Łucka Antonina ur. - córka
3. Łucki Stefan ur. - syn

1. Żłobińska Marianna ur. - matka II małżeństwo Łucka
2. Żłobińska Danuta ur. - córka zamężna Sliwańska
3. Żłobiński Wacław ur. - syn, urodził się na wygnaniu

Latusek Bogumiła
Latusek Bogumiła zd. Nalichowska
ul. H. Sienkiewicza Nr. 15
46-320 PRASZKA
woj. Częstochowa
tel. 102